

Prawdziwe oblicze Abisynji

Zniesienie niewolnictwa — edyktem papierowym

O Abisynji zaczynamy się teraz dopiero czegoś dowiadywać, ale nawet obecnie interesuje ona nas tylko o tyle, że stać się może czy mogłaby przyczyną zatargu światowego. Europa zaś tak potrzebuje i tak bardzo pragnie pokoju. Właśnie ta nasza niewiedza sprawiła, że uwagi Alcisięgo przeżyły właściwie bez echa. Jego powiedzenie o niewolnictwie potraktowano nie jako sąd obiektywny, lecz raczej jako wyraz gniewu. Pomyślano, że poproszą Włochy chcą Abisynji zaszkodzić w opinii całego świata i posługują się w tym kierunku bronią bardzo nie wybredną.

A tymczasem, choć to wydaje się tak nieprawdopodobne, niewolnictwo w Abisynji istnieje naprawdę. Istnieje ono, co prawda, i w Arabii, Sierra Leone, Liberji oraz Chinach, lecz w Abisynji stanowi cechę charakterystyczną społecznego ustroju, jego podwalinę niejako. Jedną piątą całej ludności to niewolnicy, z czego wynika, że Abisynia liczy co najmniej 2 miliony niewolników.

POŁOŻENIE NIEWOLNIKÓW

Położenie tych milionowych rzesz niewolników w Abisynji jest bardzo ciężkie. Rzadko kiedy uważani są oni za członków rodziny, a w takich warunkach żadnego nie mają powodu do skarg. Z reguły zaś używani są do spełniania najgorszego rodzaju posług, gdyż wolny Abisyńczyk brzydzi się takimi posługami. Kobiety - niewolnice zajmują się głównie mieleniem zboża, zbieraniem drzewa i ciągnięciem wody. Mężczyźni w roli służących towarzyszą swym władcom w podróży, noszą ich strzelby, doglądają bydła czy też przenoszą zapasy żywności.

Jest to jedna tylko strona medalu, gdyż dość często kobiety-niewolnice zostają konkubinami swych władców. Niewolnicy nie rzadko chodzą całkiem nagi lub też pokryci trochą łachmanów, żywią się resztkami pańskiego pożywienia i w ogóle przebywają w warunkach najcięższego zaniedbania. Ich dzieci są skazane na życie w obłudzie, niemoralności i fałszu. Często już w bardzo młodym wieku używa się ich do najbardziej poniżających posług.

Życie rodzinnego niewolnicy nie znają zupełnie, bo ich małżeństwa są zjawiskiem przypadkowym. Kto z nich zestarzeje się lub zachoruje, porzucany bywa na pastwę losu albo też leży sam w marnej swej chacie.

SPOSOBY KARANIA NIEWOLNIKÓW

Los więc niewolników abisyńskich bardzo jest ciężki nawet w zwykłych warunkach, ale staje się wprost nie do zniesienia, gdy niewolnik zasłuży czemkolwiek na gniew swego pana. Bo nicograniczone są możliwości okru-

cieństw i kar, stosowanych wobec niewolników. Jedni skuwają niewolnikom za karę nogi, inni smagają ich batami, kaleczą lub poddają najróżniejszym torturom. Nieleczni podróżnicy europejscy opisują np. jeden z dość pospolitych w Abisynji sposobów karania niewolników. Polega on na zawieszaniu niewolnika za nogi, głową ku dół, i paleniu pod nim ziaren suchego berberyssu. W ostrym dymie ofiara powoli dusi się.

W Harrar w r. 1920 powieszono w ten sposób szesnastoletniego chłopca - niewolnika, okadzając jego głowę berberysem. Po pewnym czasie zaczęło go bić i bito aż do chwili, dopóki dawał znaki życia. Tak wymęczone ciało spalono wreszcie. Władze miejscowe wiedziały doskonale o tym wypadku niebawomego zęcania się nad człowiekiem, ale wcale na zbrodnię nie reagowały. W tym samym miejscu w r. 1930 żona urzędnika pałacu cesarskiego utopiła niewolnicę w studni.

Gdy władca znalazł kiedyś kobietę - niewolnicę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, poparzył ją wrzącą wodą tak okrutnie, że wkrótce umarła. Inna kobieta, znaleziona w takich samych okolicznościach, została przez swego władcę spalona na śmierć przy pomocy rozpalonego do czerwoności żelaza.

Do codziennych zjawisk należy

maltretowanie niewolników za najdrobniejsze nawet przewinienia, bicie i wystawianie na czas dłuższy na najbardziej zwyczajne zachcianki władcy. Chociaż ciężki jest ich los, niewolnicy nigdy nie zwracają się ze skargą do przedstawicieli władzy, wiedząc bowiem, że nie otrzymają żadnej pomocy, a skarga jeszcze bardziej rozjuszy ich panów i narazi na bardzo surowe represje.

Gdy życie staje się nie do wytrzymania, pozostaje niewolnikowi jedna tylko broń — ucieczka.

HANDEL NIEWOLNIKAMI

Po kraju uwijają się całe karawany handlarzy niewolnikami. Przemierzają oni Abisynję z północy na południe i z zachodu na wschód, przyczem niemal zawsze końcowym punktem takich wypraw bywa Arabia. Rok rocznie w ten sposób wyprzedaje się Arabii tysiące niewolników. Jeśliby który z nich chciał zwrócić uwagę władz na machinacje handlarzy, do takiego niewolnika strzelano, jak do wściekłego psa, a jego ciało zostawia hienom na pożarcie.

Ale najstraszniejsze rzeczy w dzidzinie handlu niewolnikami dzieją się podczas przebywania przez handlarzy morza Czerwonego — w kierunku Arabii. Wszystkie barki, przewożące niewolników na sprzedaż, zabierają zaw-

sze z wybrzeża mnóstwo kamieni. Poco? Gdy tylko barki odbijają od brzegu, te kamienie wiążą się niewolnikom do nóg. Zapytacie znowu, poco? Na wypadek pościgu, wszystkich niewolników, a zwłaszcza dzieci, bo za handel dziećmi jest większa kara, rzuca się do morza. Wszyscy idą od razu na dno, bo mają u nóg ciężarki pod postacią kamieni.

Kontrolowanie tego handlu niewolnikami jest bardzo trudne i z tego choćby względu, że każdy pan, wędrując na doroczną pielgrzymkę do Mekki, jak to robią wszyscy zamożniejsi mahometanie, zabiera z sobą wielu niewolników. A nikt go nie zmusi do tego, by wszystkich niewolników przywiózł spowrotem z Arabii do Abisynji. W każdym razie dzisiaj handel niewolnikami stanowi jedną z głównych pozycji obrotu na morzu Czerwonym. Jeśli, mimo wszystko, zmniejsza się trochę ten dowóz abisyńskiego niewolnika do Arabii, przypisać to należy wyłącznie zarządzeniom państw europejskich, które mają w tych okolicach swe posiadłości.

EDYKT NEGUSA

O NIEWOLNIKACH

Dwanaście lat temu Abisynja zgłosiła swą kandydaturę do Ligi Narodów. Przystąpiono do omawiania tego zgłoszenia i wtedy Anglia pierwsza zaprotestowała przeciwko przyjęciu Abisynji do składu genewskiej instytucji, podając, jako główną przyczynę, utrzymanie przez negusa niewolnictwa w jego najpierwotniejszych przejawach. Rząd abisyński musiał złożyć uroczyste przyrzeczenie, że w sprawie niewolnictwa pójdzie za głosem wymagań państw cywilizowanych i na tej dopiero podstawie Abisynja została przyjęta warunkowo.

Po przyjęciu do Ligi Narodów cesarz abisyński, wywiązując się z danego w Genewie przyrzeczenia, wydał w r. 1924 edykt tej, mniej więcej treści: 1) Dzieci niewolników rodzą się wolne, 2) Chorych niewolników oddarza się wolnością, 3) niewolnicy posiadają prawa obywatelskie, 4) właścicielom nie wolno sprzedawać swych niewolników, 5) przepisy rejestracyjne będą obustronne, 6) niewolnikom przysługuje prawo samowypustu. Z edyktu tego pierwsze cztery punkty mają moc obowiązującą.

Co innego jest jednak wydanie i ogłoszenie cesarskiego edyktu, a co innego — jego wykonanie. Nawet w Europie zdarza się bardzo często, że przepisy swoją drogą, a ograniczenie swobód obywatelskich — swoją. Cóż dopiero mówić o Abisynji i o uzyskaniu przez niewolników — w teorii — praw obywatelskich! Przecie tam cały byt gospodarczy kraju opiera się właśnie na niewolnictwie.

STAJĄ PRZED SĄDEM

Rower jako gałązka oliwna

Przyjaciele po długiej rozmowie zegnali się.

— Ale, ale, byłbym zapomnieli — zawołał p. Jerzy K. — Moja żona na prosiła, abyś się swej pani zapytał, czy nie wybrałaby się z nią w tych dniach do kina, lub teatru. Przy okazji, ucałuj odemnie rączki. —

— Nie mogę — odrzekł p. Stefan Ł-cki, który ponuro słuchał polecenia. — Może powtórzę to żonie na przyszły tydzień.

— A no, to trudno, — westchnął p. Jerzy zryzygowany. Z małżeństwem Ł-ckich był w przyjaźni od kilku lat. I rozumiał, co oznacza „nie mogę“ p. Stefana. Państwo Ł-cki bowiem rozmawiali ze sobą bardzo rzadko, czasem raz na miesiąc, czasem rzadziej. Przerwy między rozmowami, które zazwyczaj miały charakter mocno buźliwy, wypełniała im wojna. Było to raczej ciągle ostre pogotowie. Unikali starć, trwali we wrogiem milczeniu, zdawali się nawzajem nie spostrzegać. Aby nie być zmuszonym do spotkania się, rozdzielili mieszkanie na dwie części. Dwa pokoje po lewej stronie należały do pani, dwa po prawej do pana. Jadalnia, która znajdowała się po środku, — pokoje leżały w jednej linii, — była terenem neutralnym. Tu obie strony schodziły się na posiłki, — zresztą rzadko wspólnie — tu bawili się zwykle kilkuletni synek Staś.

Naraz pewien fakt zbурzył te od lat ustalone zwyczaje. Cały system runął w gruzy. A wszystkie winy były przyjaciół — p. Jerzy. Zaprzagnął on nieść pokój między ludźmi. Niewiadomo jakie motywy grały tu główną rolę — czy bezinteresowna miłość bliźniego, czy górne ambicje otrzymania pokojowej nagrody Nobla, złośliwości oczywiście nie podejrzewamy. W każdym razie wziął się do rzeczy bardzo sprytnie, aby nikt nie mógł odkryć jego planów.

Otóż pewnego listopadowego poranku, mały Staś otrzymał na imieniny od swego chrzestnego ojca, którym był p. Jerzy — rower. Dziecinny, nieduży rower, którym można śmiało jeździć po polkach. Tę ewentualność przewidywał ofiarodawca. Od dnia imienin (niefardowa dzień ten oznaczony był feralną trzynastką!), wgląd mieszkania pp. Ł-ckich odmienił się. Wszystkie drzwi pootwierane i z jednego końca mieszkania na drugi, Staś robił bohater-skie raidy. Małżonkowie, dotychczas zamknięci w swych pokojach, jak w muszlach, teraz widzą się, jak na dłoni. Nie jest to najlepsza okazja do wyleczenia sobie nerwów. Więc awantury wybuchają raz po raz. Jedno zabrania dziecku jeździć na rowerze, drugie zakaz uchyla, drzwi trzaskają i otwierają się znowu, częściej niż zwykle dochodzi do ustnych starć.

Pan Jerzy, który kiedyś przyszedł sprawdzić rezultaty swej metody pojednawczej, czuł się dotknięty w swej ambicji — wszyscy ko obróciło się na gorsze. Stosunki między małżeństwem nigdy jeszcze nie dochodziły do takiego stanu rozjątrzenia, jak teraz. Kandydat do nagrody Nobla, wyszedł zgnębiony.

Któregoś ranka, gdy Staś przebrał miarę w swych kolarskich paluchach i w dom rodzicielski wniósł oszałamiające tempo — rozpętały się żywioły. Klakson Stasia rozbierał się potępieniście, a rodzice, których wytrzymałość już się wyczerpała, wypadli ze swych pokoi i rzucili się na swe spotkanie. W jadalni doszło do walnej bitwy. Wszystkie żale i pretensje, gromadzone przez lata, wszystkie nieporozumienia, wyzwolił przenikliwy jazgot dzwonka rowerowego. Awantura z minuty na minutę wzbierała na sile. W pewnym momencie, jakby tknięci jedną myślą, pp. Ł-ccy złapali rower, — Staś, brutalnie „wysadzony z siodła“ patrzył na tę scenę ogłupiały i bez sprzeciwu. — i z wielkim rozmachem, rzucili rower przez otwarty balkon no podwórko. Ten wysilek fizyczny jakby wypalił ich wzburzenie. Stali bez słowa, zaskoczeni tem co się stało.

Ciszę przerwał naraz przeraźliwy wrzask zdół. Państwo Ł-cki zmartwieli, zbledli, spojrzeli na siebie, w ich oczach malowała się ta sama groza.

— Jezus, Marja, ten rower — szepnęła p. Irena.

— Nic się nie bój — uspokoił ją mąż. I jakby wzajemnie szukając u siebie ratunku, chwycili się za ręce. Nawet nie zwrócili uwagi na ten odruch przyjacielski, nie zwykli w ich stosunku. Oczuli się bliscy sobie, jak nigdy, groźba konsekwencji wspólnego czynu, wspólne nieszczęście, jakie zawiśło nad ich głowami, połączyło ich z sobą mocno i nieoczekiwanie. Nieszczęście to zostało niedługo sprecyzowane i przełożone na język sądowy brzmiało: „...szczęść miesiąc aresztu za nieumyślne uszkodzenie ciała“ „Ciężkie uszkodzenie“ okazała się jednak Anna Kepuś, która w chwili klótni małżeńskiej uprawiała właśnie niewinny flirt z pomocnikiem stróża pod balkonem pp. Ł-ckich. Trudno, miłość żąda nieraz ofiar, nawet krwawych.

O ile w tej sprawie, z jednej strony zaszło „uszkodzenie“, o tyle z drugiej — „naprawienie“.

Naprawione zostało skutecznie i trwałe małżeństwo pp. Ł-ckich, z których wspólne przejścia zrobiły idealną parę. O jakichkolwiek nieporozumieniach niema mowy. Z terytorjum domowego usunęto wszelkie sztuczne granice, jakich wymagał stan wojenny; obecnie wszystkie pokoje zamieszkałe są wspólnie.

A pan Jerzy triumfuje. Cel jego został osiągnięty, choć okupiony nieprzewidywanymi ofiarami.

Esca

Z muzyki

Koncert symfoniczny

W ubiegły piątek wystąpił w Filharmonii Georgesco — znakomity kapelmistrz wysokiej klasy. Wykonał on V symfonię Beethovena w sposób oryginalny, nawiąskro współczesny; wydobył dużo jaskrawych kontrastów, barw i efektów dynamicznych, odbiegając znacznie od utartego szablonu interpretacji dzieł wielkiego romantyka.

W drugiej części programu usłyszeliśmy „Ucznia czarnoksięskiego“ Ducas'a i „Rzymskie Pinię“ — Respighiego, utwory wybitnie popisowe. Scherzo Ducas'a zatytułowane „Uczniem czarnoksięskim“ i posiadające podkład literacko - programowy, zdobyło już sobie trwałą pozycję w programach koncertów symfonicznych całego świata, a to dzięki swym niezaprzeczalnym, wysokim wartościom czysto muzycznym. Wykonane zostało to scherzo na omawianym koncercie z właściwym humorem i lekkością dowcipu, cechującego ten w swoim rodzaju majstersztyk wybitnego francuskiego instrumentaliste.

Ostatnim punktem programu były „Pini di Roma“, na których znać doskonałą szkołę orkiestro-

wą Rimskiego - Korsakowa — nauczyciela Respighiego, jak również i nieco wpływu... „mlecznego brata“ Strawińskiego (również ucznia tego samego profesora). Dużo wartościowych i świetnie brzmiących momentów zawiera ta kompozycja; jednakże często gęsto zaczyna już tracić myśłą, chwilami razić nas nieszczerym patosem, dłużyć się niepotrzebnie mi rozwlekłościami i poprostu — starzeć się... Nie przeszkadza to uważać Respighiego za jednego z największych mistrzów współczesnych, a Georgesco — za doskonałego, pełnego temperamentu, wykonawcę tego dzieła. Orkiestra również utrzymała się na wysokim poziomie odtwórczym.

Solistą wieczoru był jeden z najwspanialszych pianistów polskich profesor Zbigniew Drzewiecki. Odegrał on z właściwą mu bardzo wysoką kulturą i starannością nieśmiertelne arcydzieło Chopina — koncert f-moll, — osiągnął z wyjątkiem w drugiej i trzeciej części głęboki wyraz — oraz nad program dwa mniej znane drobne utwory Chopina, interpretacyjnie przemysłane i pieczołowicie opracowane.

Michał Kondracki.

Z radja

Propaganda — ale jak?

Akeja propagandowa, jaką prowadzi obecnie Polskie Radio dla spopularyzowania radjofonii w kraju i zwiększenia liczby abonentów, znajduje swoje odbicie także w programach. Wspomnieliśmy poprzednim razem o dyskretności i celowej formie, w jakiej tego rodzaju propaganda wplotła do swej audycji sprzed 2 tygodni lwowska Wesoła Fala. Przed tygodniem Lwów kontynuował tę akcję — ale już ze zgoła innym powodzeniem. Nawet jeden z wielkich „obrazków Polski w spódnicy“ był tematu oświęcony — również bez sukcesu.

Dlaczego? Poniekąd jest to kwestia poziomu audycji, a także odpowiedniego zmagistrowania propagandowej wstawki. Jeśli cała audycja jest tak udana, jak srebrne wesele Stroncia, a i sama wstawka pomyślana jest do wcielenia, to efekt ogólny wypadła dobrze. Ale jeśli przyjdzie kolej na falę tak „chudą“, jak ostatnia (rzecz ciekawa, że w tych wypadkach Lwów ratuje swą sławę jakąś dobrą audycją sobotnią — tak było i tym razem, gdyż wesołej audycji dla dzieci „Kopciuszek po lwowsku“ słuchało się bardzo

miło), to taki warty fundament kompletnie już zalamuje się, jeśli go się jeszcze obciążą piosenką wysławiającą uroki i korzyści radja. Bo w tym stanie rzeczy piosenka taka wygląda poniekąd na autoironię.

Ale istnieje także przyczyna druga, natury bardziej zasadniczej.

Jeśli czytelnik jakiejś gazety znajdzie w niej apel „Czytajcie nasze pismo“, to z irytacją wrzuci yramionami: „Czego oni chcą odemnie? Przecież czytamy!“ Propaganda tego rodzaju jest nonsensowa, a więc i bezcelowa. Co innego, jeśli dziennik zwraca się do czytelników z zachętą, aby zamiast kupować go dorywczo od czasu do czasu, zaprenumerował na stałe — a jeszcze lepiej, jeśli ta zachęta znajduje na poparcie konkretny argument w postaci jakichś premii i t. p.

Prasa zresztą już teraz nie popiera tych fałs — pas, aby czytelników werbować (chyba, że chodzi o jakieś pismo ideowe), natomiast zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że najlepszą propagandą jest z jednej strony odpowied-

nie redagowanie pisma, żywe, zajmujące i aktualne, a z drugiej — docieranie z niem do tych wszystkich, na których można reflektować jako na odbiorców.

I po cóż więc radju wysłać się na apele o słuchanie, zwracane do tych, którzy wszak już są jego abonentami — albo też umiać im czas opowiadaniem, jak to piękny i cenny wynalazek, jak rozjaśnienie życia i staje się niezbędnym towarzyszem? Jedyny efekt, jaki w ten sposób osiągnąć można, jest ten, że niejedni słuchacz powie sobie: „Nudzą...“ i wyłączy głośnik. Najlepszą propagandą są dobre i zajmujące programy; ileż to dziesiątków tysięcy nowych abonentów przybyło naszej radjofonii dzięki temu właśnie, iż jako słuchacz przeżył przekonanie, że się im ten wydatek sować opłaci.

Nie tylko zresztą w materjalnej dziedzinie objawia się skuteczność trafiania do słuchaczy dzięki dobrej jakości programów. Ileż to działo radjo dla spopularyzowania sportu w Polsce — w okresie, gdy transmisje sportowe stały na rzeczywiście wysokim poziomie. Mnóstwo np. ludzi, którzy ani słyszeć nie chcieli o boksie, przekonało się i nawet rozanizowało do tego sportu jedynie pod wpływem zajmujących reportaży z walk bokserkich. Na-

odwrót zaś — jakże smutno wygląda ta cała dziedzina sportowo-popularyzacyjnej działalności naszego radja, gdy rzadko tylko zdarzy się trafić na jakąś transmisję z prawdziwego zdarzenia, a przeważna część reportaży bywa nudna, nieciekawa, albo wręcz zniechęcająca. Wprowadzenie pogadank sportowych oraz stałej kroniki nie wyrówna tych braków, gdyż trafia tylko do kół specjalnie sportem się zajmujących — o propagandzie sportu na szerszą skalę już od dłuższego czasu niema mowy.

Jako propaganda muzyki, w sensie umuzykalnienia słuchaczy i ułatwienia im kontaktu z tajemnicami t. zw. muzyki poważnej, mają służyć śródowe „rozmowy muzyka ze słuchaczem radja“. Nieod razu trafiły one na właściwy ton, jednakże parę ostatnich, gdy przyszła kolej na ilustracje muzyczne (preludjum Bacha), demonstrowały już szczęśliwie powiązania zasad „utile cum dulce“, tak że audycje tych słucha się z coraz większym zainteresowaniem.

W innej natomiast formie propagandy muzycznej, mianowicie koncertach „Cała Polska śpiewa“, widać linję zygawkową. Wśród chórów prowincjonalnych zdarzają się dobre, nawet i doskonałe, ale bywają i takie, jak w u-

biegła niedzielną chór z Szopienic. Materiał głosowy niezestrojony i surowy, sopran za jaskrawe, wtóry za wątle, intonacja nieczyta, modulacja nieszczerbła... Taka propaganda może tylko zrażać słuchaczy do stałego poświęcania uwagi tym audycjom i dezorientować tych, którzyby się z nich czegoś chcieli nauczyć. Korzyść zaś wynika z zaspokojenia ambicji jakiegoś lokalnego chóru, który do produkowania się przed całą Polską nie dorósł, nie równoważył wele szkół, jakie odnosi ogół słuchających. W takien wypadkach, gdy nie można dać produkcji na odpowiednim poziomie, lepiej ją zastąpić jakimś dobre mi płytami chóralnymi.

Dla propagandy poezji i beletrystyki, recytacje, o ile dobrze są dobrane i dobrze wykonane, mają znaczenie zgoła niemałe. Ileż to razy, słuchając zajmującego i ekspresyjnie odczytanego fragmentu powieściowego nabitramy ochoty do przeczytania całej powieści. A i poezji polskiej kontakt radjowy ze słuchaczami na dobre wychodzi. Ale tu stale się zdarzają nierówności. Wiersze Perzyskiego w interpretacji dyr. Teofila Trzcińskiego tchnęły życiem, ciepłem, prawdą. Natomiast Iwaszkiewicza „Trzy siostry“ wypadły w interpretacji p. Kersena mdło, jednostajnie, bez

temperamentu. Nie czuło się tam ani tej świeżości, ani tego humoru, bez których nie można przecieć wyobrazić sobie wspomnień z dzieciństwa.

Wysoce zajmujący był feljton p. Woytowicz-Grabieńskiego o dzieciach, przebywających w domu, utrzymywanych w radości przez Patronat nad więźniami. Reportaż zza kulis wielkiego dziennika, nadany z Krakowa z okazji 25-lecia „I. K. C.“, przygotowany był sumiennie i starannie, byłby jednak o wiele efekowniejszy, gdyby go bardziej ubarwiono djałogami.

Nadane przez stację poznańską słuchowisko p. Stefana Balickiego „Ostatnia wędrówka Sempolnego“ wyreżyserowane było przez p. Z. Noskowskiego bardzo dobrze i dobrze obsadzone (choć byłby wskazywał większy kontrast głosowy między aktorami grającymi Sempolnego i Strycharza). Co jednak chciał powiedzieć autor w tej historii — pozostało dla słuchacza zagadką. Ani pogórki bohaterów, ani jego nagła decyzja, aby zamiast jeszcze jednego morderstwa popełnić samobójstwo, nie tłumaczyły się jasno i nie wzbudzały zbytnio, gdyż akcji brakło istotnego dramatycznego napięcia, o które trudno tam, gdzie sami problem nie rysuje się dość wyraźnie.

Marjan Grzegorek